

IN MEMORIAM

STEFAN JAN KAROLAK (1945-2018)

29 kwietnia 2018 r. odszedł Stefan Karolak. Doprawdy, trudno mi sobie wyobrazić, że Go nie ma. Pychą byłoby porywać się na komponowanie Jego detalicznego biogramu bądź dokonywanie podsumowań. Kimże w końcu jestem, by ważyć się na coś podobnego? Ten człowiek pochodził z innej epoki. Poznał życie od podszewki i zrozumiał jego tajemnicę. A jednak czuję, że powinienem, że muszę coś napisać, że winien Mu jestem epitafium, z którego byłby zadowolony. Paradoksalnie, mimo naszych stosunkowo częstych spotkań oraz rozmów telefonicznych, nie posiadałem detalicznej wiedzy na temat Jego biografii. Powtórzyć mogę więc jedynie to, o czym mówił On sam, co przeżyliśmy razem lub do czego z chęcią się przyznawał, a i z tego nie wszystko. Niemniej, spróbujmy.

Urodził się 1 października 1945 r. Podczas naszego ostatniego spotkania zaprosił mnie na spacer do Łazienek. Tam opowiedział o sobie więcej. W oczy natychmiast rzuciła mi się doskonała znajomość topografii tego miejsca i jego historii. Stefan wyjaśnił: „Bo to było tak: ponieważ w szkole miałem wiele nieobecności, moja nauczycielka powiedziała mi jednego razu: »Stefan, za dużo chodziłeś na baksy! Aby to odrobić, przygotujesz dla całej klasy wycieczkę po Łazienkach«. No i przygotowałem. A kiedy byliśmy przy Pałacu na Wodzie, ogłosiłem przerwę. Było tam trochę starszych przewodników, którzy ćmili papierosy i niechętnie patrzyli na mnie, gdyż uważali, że zabieram im zarobek. Jeden z nich podszedł wtedy do mnie, wskazał na rzeźbę Herkulesa i powiedział: »Tobie się, gnojku, wydaje, że wszystkie rozumy pozjadałeś, a baby i tak wolą takich!«. Po czym splunął mi pod nogi i odszedł”. Po upływie

ponad pięćdziesięciu lat staliśmy przed tym Herkulesem i śmiałyśmy się z tego serdecznie. Opowiedział mi wtedy również o tym, jak to będąc młodym chłopakiem, próbował zarabiać na życie jako murarz, fotograf, a nawet kelner. W żadnej z tych profesji nie znalazł wszakże spełnienia. Wspomniął służbę wojskową w Hrubieszowie. „To wspaniała jednostka – zachwyciłem się – 2. Hrubieszowski Pułk Rozpoznawczy! Elita!”. Odpowiedział: „Wtedy tak nie było. Kiedy ja tam byłem, to był koszmar. Herbata była zielskiem wrzuconym do surowej wody. Te biegi w maskach gazowych... Chłopaki padali jak muchy. Tam nawet nie było normalnej drogi...”. Jako z krwi i kości intelektualista nie czuł sentymentu do munduru. Lubił ubrać się po swojemu i to mu zostało. Będąc na studiach, pokochał prawo rzymskie uczuciem mocnym i bezwarunkowym. Nigdy się go nie wyparł i nawet wówczas, kiedy przytłaczały Go obowiązki niezwiązane z działalnością dydaktyczną, uczestniczył w zjazdach, występował, publikował.

Jego naukowymi fascynacjami były dyscypliny, które ukochał i podziwiał: prawo rzymskie, filozofia oraz logika. Z niezrównaną finezją potrafił je ze sobą łączyć, nigdy nie zapominając wpleść do swych rozważań miłości, która Go animowała i która stanowiła sens Jego życia. Poznałem Go, kiedy wykładał w Europejskiej Wyższej Szkole Prawa i Administracji. Wiem, że studenci Go lubili, czemu wielokrotnie dawali wyraz. Cieszył się zwłaszcza z tytułu Mistrza Myśli i Słowa oraz złotego medalu, który otrzymał w uznaniu dydaktycznych osiągnięć. Potrafił zarazić pasją. Jedną z przyczyn Jego powodzenia była z pewnością zdolność do czynienia zaskakujących porównań oraz panoramicznego spojrzenia na badaną materię.

Sporo jeździł. Występował na najważniejszych konferencjach romanistycznych. Ogłosił drukiem wiele artykułów naukowych. Starał się popularyzować prawo rzymskie również przez teksty publicystyczne oraz występy radiowe. Opublikował monografię zatytułowaną *Sprawiedliwość i sens prawa*. Zawarł w niej ciekawe przemyślenia z pogranicza teorii i filozofii prawa, historii prawa oraz prawa rzymskiego. Książka doczekała się dwóch wydań. Pokazał w niej, w jaki sposób budować argumentację, sięgając do prawniczych i filozoficznych prawideł pozostawionych ludzkości przez starożytność klasyczną.

Jego wypowiedzi podczas cyklicznych spotkań romanistów w Warszawie, a także w trakcie niektórych konferencji nie zawsze spotykały się z życzliwym odbiorem. Zdarzało się, że przez szmery lub ostentacyjne zagadywanie sąsiada okazywano mu lekceważenie. Ze wstydem przyznaję, że miałem w tym swój udział. Początkowo również odbierałem Go jako zręcznego performerą. Jak bowiem postrzegać kogoś, kto po wystąpieniu poświęconemu – wyobraźmy sobie – kontraktom realnym w prawie rzymskim, nagle zaczyna opowiadać o miłości oraz o tym, że jest najważniejsza? Potem zrozumiałem, że Stefan Karolak miał rację. Kiedy osaczyły mnie moje demony, zdałem sobie sprawę, że właśnie miłość i tylko ona ma jeszcze jakieś znaczenie i nie ma takiego wystąpienia poświęconego kontraktom realnym, którego nie dałoby się odłożyć lub skrócić kosztem rozważań na temat istoty bytu. Ktoś powie: można było wybrać inną okazję. Nie uważam tak. *Spiritus flat, ubi vult.*

Byłem świadkiem narodzin i rozwoju uczucia pomiędzy Stefanem i Agatą. Opowiadał mi o swoich planach, cieszył się, a mnie trudno było w to wszystko uwierzyć. Prezentowałem początkowo podejście prymitywnego kibica. Różnica wieku pomiędzy obojgiem była przecież niewiarygodna! Zdobyć takiej dziewczyny postrzegałem jako wyczyn olimpijski. Uwierzyłem, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem ich razem. Wtedy po raz wtóry pomyślałem: „Niech diabli porwą te – wyobraźmy sobie – kontrakty realne!”. Myślę, że wiele osób traktowało ten związek jako kolejną ekstrawagancję człowieka, który mówił to, co myślał, w zimie paradował w płaszczu z lamy, a w lecie osłaniał szlachetne czoło panamą. Niemniej, ja byłem przy tym od początku. To była wielka miłość. Dodam, że bardzo im tego zazdrościłem.

Miał talent do języków. Posługiwał się biele francuskim oraz włoskim. Świetnie dawał sobie radę z rosyjskim. Później *private* na tyle dobrze opanował nowogrecki, że również w tym języku potrafił się bez trudu porozumiewać. Pod względem wypowiedzi był purystą. Doskonale zdawał sobie sprawę, że Jego wiedza i lingwistyczna wrażliwość są jak tasak, którym mógł bez większego trudu sztukować wypowiedzi utrzymywane w tonie naukowej nowomowy. Lubiłem zachęcać Go, by kiedyś poważzył się i wziął zamach na tego lub innego. Nigdy nie dał się

sprovokować. „Kiedy będziesz miał moje lata, zrozumiesz, że to na nic”, kwitował, po czym zręcznie zmieniał temat.

Wydaje mi się, że nie było w Nim duszy wojownika. Żył iluzją rajy na ziemi. Dlatego z pokorą godził się z tym, że go krzywdzono, czasami ostentacyjnie. Widział wszystko i zapewne wiele wewnątrz boleśnie przeżywał, ale afronty pod swoim adresem konsekwentnie uważał za mniejsze zło. Pragnął, by romanistyka polska, której słusznie czuł się ważną częścią, była jednością. Niniejszym daję świadectwo, że dysponował wszystkimi narzędziami służącymi nie tylko do obrony, ale i do ataku. Nie korzystał z nich świadomie.

Mnie jednak, kiedy poczuł taką potrzebę, nigdy nie żałował gorzkich słów i wymówek. „Mówię ci to wszystko, bo mi na tobie zależy!”, słyszałem niejednokrotnie. Powody wyrzutów bywały przeróżne. W pamięci zapadła mi subtelnie wygłoszona krytyka pod adresem jednego z wielu bardzo słabego wystąpienia. W istocie, było ono niedopracowane i chaotyczne. Stefan nie dał sobie zamydlić oczu. Z właściwą sobie finezją podsumował wtedy to, co widzieli i słyszeli wszyscy. „To nie jest ten poziom” – usłyszałem na końcu. Początkowo byłem wściekły, ale potem Mu podziękowałem. Dokonałem również pewnych korekt w trybie życia. Myślę, że wszystkim wyszło to na dobre.

Wiedział o mnie wiele. Z zaskakującą łatwością opowiadałem Mu o najbardziej prywatnych upiorach i nazywałem je przy Nim. Spokojnie odpowiadał: „Nie możesz. Nie wolno ci”. Nie potrafię policzyć, ile razy dzwonił do mnie w różnych zaskakujących momentach tylko po to, by zapytać, jak się miewam i czy u mnie wszystko w porządku. Nie rozmowami na temat prawa rzymskiego, filozofii i sensu istnienia, ale przez te telefony mimowolnie wkleił się do klaseru najbliższych mi osób. Dąsał się, kiedy nie odbierałem lub nie oddzwaniałem szybko. „Ty chyba w ogóle o mnie nie myślisz!”, żalił się. Trzeba było go wtedy uspokajającym rozkapryszone dziecko. Bariera dźwięku została przekroczona.

Nigdy nie zrobił doktoratu, co dla niektórych było o tyle dziwne, że dokonując jakiejś syntezy prawa rzymskiego i filozofii, bez trudu był w stanie stworzyć dzieło na przyzwoitym, a wręcz bardzo przyzwoitym poziomie. Podczas konferencji natychmiast prostował głosy nieuświadomionych, które tytułowały Go doktorem lub profesorem. „Platon

dziś nie zrobiłby nawet magisterium!” – wykrzykiwał buńczucznie. Stanowił w tym ozdobę naukowych spotkań i sympozjów. Kiedy zyskałem habilitację, umówiliśmy się, że doktorat napisze u mnie i obroni na KUL-u. Zależało mi na tym. W pysze niepokromionej chciałem zdjąć z Niego *fatum*, które widziałem jedynie ja. Wydawało mi się, że skuteczne przeprowadzenie przewodu doktorskiego na naszej uczelni da Mu szczęście. Zapomniałem o miłości. Kiedy poznałem Agatę, zrozumiałem, że żadnego doktoratu na KUL-u nie będzie i... ucieszyłem się. Grzałem się w cieniu tego związku.

Kiedy przyjeżdżałem do Warszawy, by prowadzić zajęcia na UKSW, naszym miejscem spotkań była pijalnia czekolady *E. Wedel*. Rozmawialiśmy, filozofowaliśmy. Pytał wtedy również o moje sprawy. O ile bywał surowym recenzentem mojego życia, to w pracy dopingował mnie i wspierał. Sam nie wiem, kiedy został moim przyjacielem. To się stało cicho, bezszelestnie. Pochodził z innej epoki. Poznał życie od podszewki i zrozumiał jego tajemnicę. A teraz Go nie ma. Nie mogę w to uwierzyć.

Maciej Jońca*

* Katolicki Uniwersytet Jan Pawła II.